

Dwóch chłopaków z małej wsi koło Lubaczowa stawia pierwsze kroki w zawo-  
dzie przemytnika. W bagażniku granatowego passata wożą przez ukraińską  
granicę papierosy Prima, wódkę Chlibnyj Dar, cukierki, chlewę i ketchup. Sensej,  
lokalny rekin biznesu, próbuje wciągnąć swoich podobleczych na wyższy  
poziom. W grę wchodzi tajemnicza przesyłka do Eda z Przemyśla...

*Przemytnicy* to nie tylko thriller o prowincjonalnej mafii, ale i obraz podkarpac-  
kiej prowincji — anarchicznej i niechętniej obcym.

Po pięciu stronach chce mi się jednocześnie rzygać i wyć, że nienawidzę Polski  
i nie chcę tu żyć. Jeśli taki miał być efekt, to się udało.

Kaja Puto

*Przemytnicy* Janczury to książka o Podkarpaciu, jakiej wcześniej nie było.  
Bo kto wie, czy wcześniej w ogóle było takie Podkarpacie. Odwieczne pograni-  
cze zamieniło się w granicę, za którą mieszkają demony. Którymi łatwo straszyć  
i na które łatwo zrzucić to, co się samemu ma za uszami. Janczura pisze przeje-  
rzyście, prosto i mocno. I przekonująco. Czyta się to szybko, mieli - dłużej.

Ziemowit Szczerek

Konrad Janczura — dorabiał jako copywriter, dziennikarz, krytyk literacki  
i przemytnik, obecnie pracuje w korporacji. Mieszkaniec Bukaresztu, Krakowa  
i Lubaczowa. *Przemytnicy* są jego debiutem prozatorskim.

MBP Cieszanów  
Przemytnicy /



0000027313

korporacja ha!art

5% VAT  
EPUB i MOBI

KONRAD JANCZURA PRZEMYTNICY

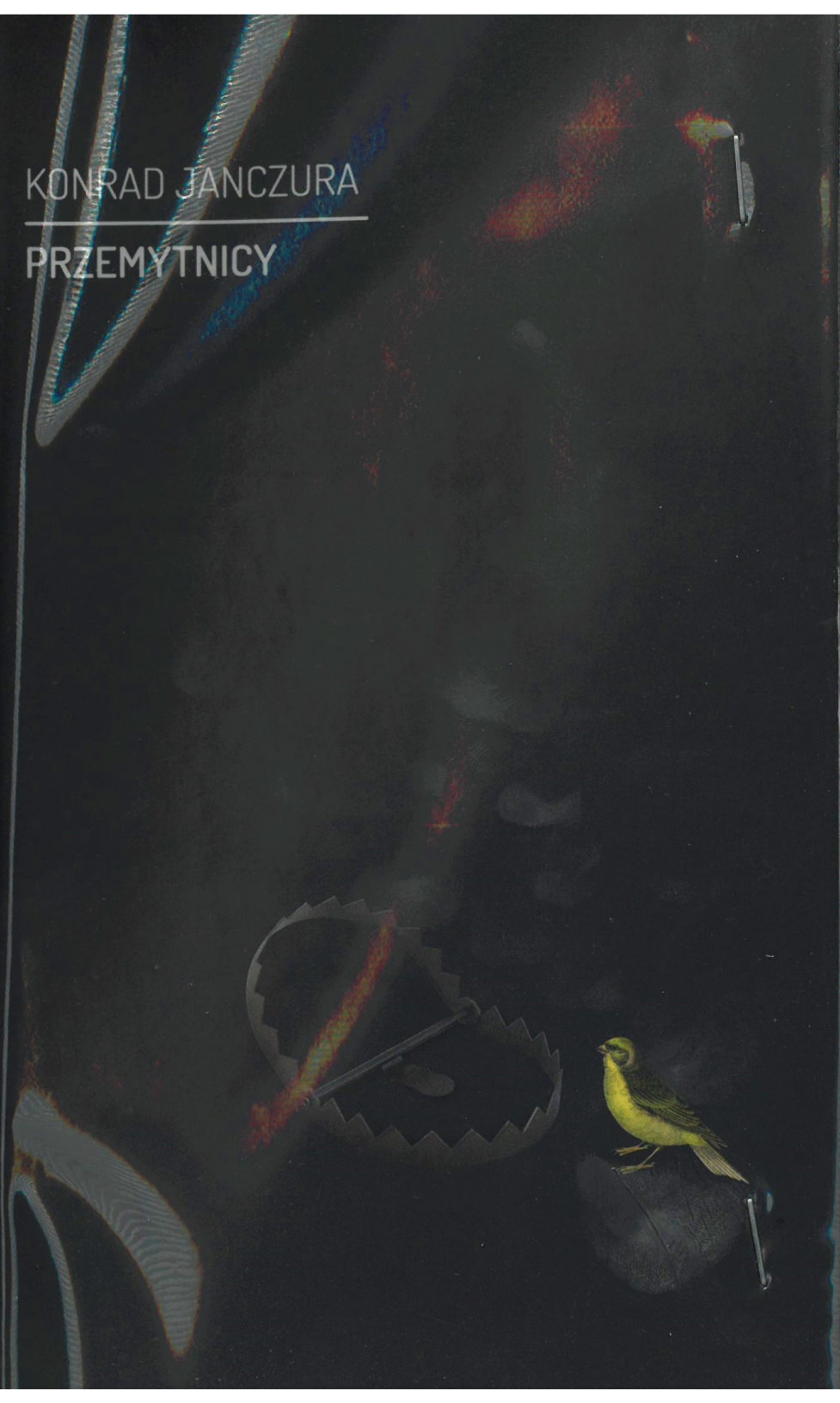
korporacja ha!art

JAN

# KONRAD JANCZURA

---

## PRZEMYTNICY



## Rozdział IV

Od rana trzeba było towar rozwozić. Zajechali najpierw na Lubaczów, na ruski targ. Tam jest w centrum miasta taka stara miejscówka, gdzie się rozkładają handlarze. Kiedyś było ich więcej, ale gmina wygnała większość na przedmieścia. I tam nikt nie chodzi, ale co zrobisz. Władza to władza.

No, targ ruski, bo na handel dawniej głównie ze wschodu przyjeżdżali. Co to u nich nie można było kupić! Wędki, gry telewizyjne, sprzęty AGD, ciuchy. A od dzieci banderolki skupowali, żeby wódkę podrabiać.

Lubaczów to w ogóle nie jest zbyt wielkie miasto. I tak rozrosło się za komuny! Co z tego, skoro jak tylko Unia się zaczęła, to wszystko, co mądrzejsze, wyjechało. I teraz robi się tam taka smutna miejscina. Dwa kościoły, stara cerkiew (ale jaka piękna!). Ludzie leniwie, gdzieniegdzie, wążają się po ulicach. Ale to tak wszędzie w Polsce. Tylko metropolie kwitną, a reszta co? Reszta też jakoś żyje, ale kto ich tam wie, co się naprawdę dzieje po domach. Wiadomo, że wokół market na markecie. I niby wszystko, co trzeba, jest. Ale kogo na to stać, no kogo?

Fery z Zolą zawsze najpierw brali zapiekankę koło poczty. Tam są najlepsze, kopę lat je robią. Potem do Sziszki zajeżdżali, co stał na rogu. Spryciarz, tuż obok miał skitraną taką małą blaszak, gdzie przemytnicy zostawiali mu torbę. A on im zawsze pieniądze w pudełku z cukierkami dawał. Zapalili z nim fajkę.

– Jak tam, Szisza, życie płynie? Schodzą te szlugi? – Fery odpalił prima. Była dopiero jedenasta, ale nieźle grzało.

– Ta, schodzą, schodzą. Ludzie palą jak smoki. A że pieniędzy nie mają, to co mają robić. Ja tu już wszystkich znam w tym mieście. A tobie co się pod okiem stało?

– Mała sprzeczka.

Sziszka to taki typowy, niski Ukrainiec. Gębę miał nieco żydowską, ostry nochal. Ale oczy przyćmione jak każdy szoszon. Chudзина, ubrana w dresy i meszty (meszty to buty skórzane, na przykład do garnituru). Obok był Turas z kebabem. Niby mówią, że ludzie w tej Polsce tacy źli, ale tamtych to się nikt nie czepiał, nikt o nich nic złego nie mówił. Bo pożytek z nich był po prostu.

Tyle w Lubaczowie. Pojechali dalej, na wioski. Wioski tu są, jakby je ktoś w komputerze skopiował. Kwadratowe murowańce, gdzieniegdzie stare chaty. I w każdej kościół, a co jeden to brzydszy. Żaden badacz pierwotnych wierzeń by tu nie przeżył ani chwili. Jakby nie te drewniane cerkwie, to by tu tylko bidę było widać albo jakieś takie szkaradne bogactwo. Majątki robotników z zagranicy, czy też tutejszych rządzących. W sumie jedno i to samo.

Ale ludzie się cieszą, jak się coś dzieje. Jak ktoś coś pod-

pali, ktoś kogoś pobije. Bo tu smutek jakiś taki zawsze jest, nieważne czy wiosna, zima, lato. I co, że o tym jednym z drugim, jak o Zoli i Ferym, mówią, że to nie człowiek, to zwierzę, to bydlę. Ale bez takich tutejsze życie nie miałoby sensu.

A i bez Ukraińców, tych zza granicy, nie wiadomo by było, o czym gadać. Bo ich ludzie nie lubią, trochę się boją, ale jak tylko jakiegoś zobaczą, to sensacja. Auto z przyciemnianymi szybami jedzie, a wszyscy mówią: „Ało, mafia”, „Ało, Ukraińce przyjechali po dzieci”. Czy inne takie.

– No i widzisz, krzyż chuje postawili na Werchracie i stoi. A wszyscy wiedzą, że to o banderowców chodzi – mówił stary Rychu na ławce przed domem, popijając Tatrę z Mylem. – Oni nigdy nie odpuszczają. To są takie ludzie.

– A gdzie to kiedy jaki honor miało, jaką godność? O, głupie. Bandytę Banderę sobie na patrona wzięli, choć gdyby nie Niemiec, to im by nawet do mózgu niepodległość nie przyszła.

– A nasi to co, lepsze byli? Tyle się nasiedzieli po tych lasach, nabiegali, a Stalin przyszedł i co? Albo nowej władzy służycie, albo od razu se w łeb pierdolnijcie!

– I co zrobisz, takie czasy były. A i teraz nie wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi. Niby Unia jest, ale co ta Unia może. I to NATO. Ało, Putin robi co chce! Co chce!

– A jak!

Fery i Zola podjechali na podwórko Rycha. Brama była otwarta, bo było już wiadome, że oni mają we wtorek o czternastej podjechać.

– I jak tam, duża kolejka na granicy była? – rzucił na powitanie Rychu, odkładając puszkę z piwem na ziemię, kiedy kulejącym krokiem podchodził w stronę samochodu chłopców.

– A gdzie tam, mniejsza niż zawsze. Teraz lato, ni by powinni jeździć jak pojebani, ale coś w tym roku odpuścili.

– Co ty gadasz, Fery. A czego tak?

– A ja wiem? W Polsce coraz drożej, może nie chcą się już tak pchać do nas na zakupy.

– Gdzie tam, coraz drożej. A może i coraz drożej, tylko nam się tak nie wydaje, bo my podobno coraz bogatsi.

– Ta, coraz bogatsi. Chyba w złom.

– A jak.

Rychu wyciągnął portfel i wyjął dwieście czterdzieści złotych.

– Całe poszło? – zapytał Fery, wyciągając kartony z papierosami i butelki wódki w umówionej ilości.

– A jak, całe! Teraz lato, to ino chleją i kurzą. Spać mi nie dają. Ale jak mi się nie chce, to przeganiem towarzystwo i tyle.

– A pewno. To może więcej weźmiecie za tydzień?

– Zobaczymy. Jak jest teraz, to i źle nie jest.

– Ale zarobić zawsze warto – cwanie podjudzał Fery.

– A racja, za darmo to ino kopa można dostać.

Rychu to był już chłop wiekowy, koło sześćdziesiątki. Brał zawsze sześć kartonów i pięć flaszek wódki. Płacił za to, ile uzbierał ze sprzedaży, przy tygodniowym rozlicze-

niu, a Sensej na koniec miesiąca zwracał i jeszcze premię dawał. Jak to się wszystkim opłacało? Jakoś się opłacało. Bo interesy na Podkarpaciu to nie jest takie coś, że tu są ceny, VAT, netto, brutto. Tu trzeba umieć gadać z ludźmi.

Z Sensejem było się zawsze dogadać, ale jemu podpaść to nie jest dobrze. Jego wszyscy znają. Jak Sensej się dowie, że go oszukujesz albo na policję donosisz, to już cię nie ma na wiosce. Albo lepiej, żeby cię nie było. Taa, on cię wszędzie dopadnie, a potem cię rodzona matka nie pozna.

Na Podkarpaciu to w ogóle ludzie nie lubią kłamać. Jak kłamią, to znaczy, że jakie licho ich podkusiło. Tu każdy z każdym żyje. Tylko najgorzej, kiedy któryś gdzieś wyżej pójdzie. To nie ma zmiłuj. Wtedy dopiero się okazuje, kto z kim dobrze żył. A i nieraz taki się trafi, że swoich upierdoli. Nie bój się, niejedno bydlę siedzi w człowieku.

– Dobra, my tu gadu-gadu, a nas czas goni. Jeszcze do Kozickiej musimy podjechać, do Margasa, do Zeltów... – rzucił Fery i podał rękę Rychowi, którego ręka była brudna jak diabli, ale co to przeszkadza! Przynajmniej widać, że robił.

– No, to daj Boże zdrowia!

– Daj Boże!

Zola przez cały czas siedział w samochodzie i bawił się telefonem. Rozmawiał na fejsie z Karoliną, tą od Baški, ze wczorajszej imprezy. Tak to zawsze było, że jak rozwozili towar, to z jednymi gadał Fery, z drugimi Zola. Bo to na wiosce różne koligacje są. Nie zrozumiesz.

– Ty wiesz, co mi ta Karolina pisze?

– No?  
– Że te chuje mieli wypadek.  
– Co ty gadasz?  
– No... koło Starego Sioła blachowali.  
– A niech cię chuj. I co, żyją?  
– Śmiertelnych podobno nie ma, ale dwóch, co siedzieli z przodu, w szpitalu w stanie ciężkim.  
– Ha, ta kurwa Tołdi pewnie też...  
– Pewnie tak. Ale na chuj oni tam jechali?  
– Pewno na kurwy jakie, tam pod Jarosław.  
– To się ciesz, bo Baśka nie dała.  
– Ano, pewno nie dała. Ale kto z takim zębem by cokolwiek chciał.

Zapalili papierosa. Uchylili po skrawku przedniej szyby. Jechali przez nizinę, gdzie wszędzie wszystko takie samo. Takie same domy, drzewa, ulice. I wszędzie po jednej cerkwi, cmentarzu starym. Dobrze, że Ukraińcy tego nie chcą, bo wzięliby, ogrodzili płotem, poszłoby w diabły.

Fery z Zolą też mieli niejedną glebę, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nikomu się nigdy nic nie stało. Wódka im się raz potłukła, jak do rowu się wpierdolili. Ach, jebało jak diabli! Ale jak jedziesz z granicy, to tam ani światła, ani drogi porządnej. Jak ci kto wyjedzie w nocy zza zakrętu, wypadek gotowy. Wtedy jeszcze ślisko było. Pryskali potem auto olejkami zapachowymi, żeby szefu zły nie chodził.

Dzień im minął jak z bicza strzelił. Oni, jak rozwozili towar, to witani byli czasem jak zbawcy. Bo to jest, pro-

szę pana, porządny zarobek, taką metę prowadzić. A czy to legalne, czy nie, to Bóg będzie sądził. Ale gorsze rzeczy ludzie robią i żyją. I do nieba idą.

Zola i Fery to zawsze coś dostawali w poczęstunku. Tu obiad, tu po piwku. Tu herbatę zrobili. Wprawdzie zazwyczaj w pośpiechu, ale Sensej kazał, żeby pogadali czasem z tymi ludźmi, bo taki zawodowy obowiązek. A więc gadali, bo czego nie.

Jak zajechali do takiej Kazi, siedział u niej stary Zenek. Jemu żona umarła, a Kazi mąż. I siedzieli tak razem. Ona brała zawsze kilka kartonów, bo u niej, w tym przysiółku, to tylko parę domów było. Każdy u niej kupował. Zola czasem żartował sobie:

– Ciekawe, czy oni się pukają.

Wieczorem mieli wstawić się u Senseja. Koło siedemnastej skończyli, odbili do domów coś zjeść, odpocząć, wyspać się. A potem na piechtę albo rowerami, bo miało być większe picie.

\*\*\*

Fery to nie miał lekko w domu. Zawsze czekał na niego stary, który miał parę groszy renty i wszystko przepijał. Jakby nie Fery, ta chata by się już dawno zawaliła.

Fery nawet nie wiedział, co z matką jego się stało. Podobno odeszła, jak miał kilka lat. On się spał trochę, głupi nie był. Studia w Jarosławiu skończył, administrację jakąś

czy co. Tylko co, jak teraz dla młodych pracy nie ma. A kto wie, czy on w ogóle szukał. Mówił, że wrócił na wioskę starego pilnować. I w sumie jakaś w tym racja jest, bo co miał chłopak, zostawić go, żeby chuj się całkiem zapił. A że Fery sprytny chłopak, to se poradził.

Stary jego też nie był zły człowiek. Dawny solidarnościowiec, w szkole wuefu uczył. Kawał chłopca był, na wiosce go szanowali. Tylko co – żona odeszła, ten na nogi zachorował, pić zaczął, robotę w szkole musiał zostawić. I co zrobisz. Aj, żeby to złych ludzi tak los nie oszczędzał, jak dobrych!

I ten Marek (bo tak się Fery nazywał) to trochę miał koło pióra przez niego, bo często ani zjeść nie miał co, ani w co się ubrać. Kiedyś to jeszcze do babci chodził, ona pomagała, ale potem umarła. Podobno matka tam czasem wysyła pieniądze, ale co się z nimi dzieje, to nikt nie wie. Pewno stary przepija.

Ale, jak to już było powiedziane, Fery był zaradny. Na niego w ogóle tak mówią, bo jak mały był, to na boisku cały czas mówił: „Fair play, no nie? Fair play!”. Uczciwy był chłopak. A wszyscy wiedzieli, że lekko nie ma, to mu zawsze zarobić dali. O, tu skosił trawę, tu przy żniwach pomógł. Uczyć się chciał, nauczyciele go chwalili. Ino przez tego ojca smutny był zawsze, taki bez życia.

Zola to w ogóle też miał ksywę z boiska. Jak był mały, to latał po domu taki nieostrzyżony, bo starej się długie włosy na dziecku podobały. I latał, a wtedy jeszcze grał w telewizji taki piłkarz Gianfranco Zola. No i podobny

był niby przez te włosy. I tak zostało. Dziadek tak małego ochrzcił podobno.

Znali się Zola z Ferym od dawna, bo w pewnym wieku to nic nie szkodzi, że sześć lat różnicy, Ba! To i tak mało. Fery w podstawówce jeszcze pomagał Zoli, jak go zaczepiali. Bo on malutki i ładniutki był. Potem się wyrobił, ale w tej podstawówce to go ciągle zaczepiali. A Fery wszystkich słabszych chciał bronić. Takiego sprawiedliwego grał.

Ale też miał swoje za uszami, nie bój się! Dziewczyny to na lewo robił. Jak tylko się dało. Po kilka na raz i miał. Aż go tak na wiosce zniechęciły, że już żadna z nim nie chciała. Bo co, że wykształcony, jak pojebany? Jemu za dużo się wydawało w pewnym momencie.

Tylko Baśka się uparła i go tak przy sobie trzymała, że inne uwierzyć nie mogły. Jaki to ona sposób miała – nie wiadomo. Gdzieś mu pewnie trochę po ambicji jechała, bo na takiego to nie ma innego sposobu. A może potrafiła jakoś go w łóżku tak przygrzmocić porządnie, nie wiadomo.

W każdym razie lata za nią teraz i lata. Po południu wrócił do domu na chwilę, aż browara wychylił ze starym, bo co tu innego robić. Opowiedział mu, jak to z tą Baśką. A stary jak to stary, co miał powiedzieć – że baby to chuje i żeby się nie przejmować. Ale w młodym jeszcze krew była. I ikra. Tak łatwo nie chciał odpuścić.